№ 36. Warszawa, 9 Września 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZENSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g 3 — 5 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Wszechstanowa reakcja.

Po rozłamie na gruncie galicyjskim powszechnie twierdzono, że narodowa-demokracja chyli się do upadku. Nie jest to jeszcze jednak pieśń łabędzia organizacji wszechpolskiej. Ani przedmiotowe warunki nie prowadzą ku temu, ani też zmysł polityczny matadorów narodowo-demokratycznych dotychczas nie uległ „spaczeniu" w pracy obywatelskiej i patrjotycznej. Tembardziej, że na gruncie naszym całokształt rzeczy utrwala się w duchu pomyślnym dla tych grup politycznych, które po to mają programy demokratyczne, by w odpowiednim czasie przelewać krew „bratnią" istotnych demokratów, i poto obiecują reformy dla włościan bezrolnych i małorolnych, ażeby w praktyce zabiegać o rentę dla obszarników demokratycznych. Ulegamy dziś łatwo aberacjom psycho-politycznym. Bierzemy chętnie stan pożądany za rzeczywisty. Otóż i obecnie ulegamy złudzeniu, że mija złoty czas rządzenia narodowego wydziału paszportowego i biura patentów na patrjotyzm. Rola polityczna tego rodzaju instytucji narodowych kończy się dopiero wówczas, kiedy „arystokratyczni" urzędnicy sami zaczynają korzystać z podobnych paszportów wszechpolskich, biorąc je, jako jedyne świadectwo polskości na wyjazd za granicę w roli białych wychodźców, — wzorując się na swych francuzkich krewniakach politycznych, którzy niegdyś unieśli na emigrację swą patrjotyczną nienawiść do ojczyzny demokratycznej i republikańskiej.

Dziś stronnictwo wszechpolskie śmiało rzec o sobie może, iż jest najsilniejszym ośrodkiem politycznym mogącym oprzeć się drobnym rozłamom wewnętrznym i wszelkim ugrupowaniom wśród ziemiaństwa i w środowisku mieszczańskiem. Reakcja w kraju przechodzi pod jej znakiem rządzenia. Żyjąc z wyzysku haseł i uczuć narodowych, dziś bardziej niż kiedykolwiek utrwalać może swoje istnienie partyjne. Mając zaś u nas na czele działaczów, których porównać ongi nie zdołano do Thiersów czy Meternichów, lecz tylko do... Kruszewanów, — z powodzeniem i zgodnie ze swoim duchem wydawać mogą na jednych wyroki banicyjne, drugich chrzcić mianem nieprzyjaciół lub zdrajców idei narodowej; naturalnie brać to należy w sensie wszechpolskim, a więc nawet nie w rozumieniu rojalistycznych urzędników francuskich czy austrjackich, lecz w zwykłem pojmowaniu rzeczy przez czarną zgraję. Istotnie — kto rządzi bez obaw — prawdziwym językiem przemawia. W okresie bieżącym, kiedy rozwój nowożytny społeczeństwa ponownie utknął na rumowiskach, będących przytem grobem zdobyczy ideowych epoki ubiegłej, i kiedy Polska porewolucyjna przedstawia obraz upadku narodowego, przypominający w treści obrazy ruin popowstaniowych,—jedynie ześrodkowane żywioły reakcji ubiegać się mogą o hegemonję partyjną w łonie wszystkich warstw i na przestrzeni całego kraju. Nic więc dziwnego, że narodowa-demokracja nie chce się ograniczyć do wpływu na odłamy społeczne, przez nią reprezentowane, lecz usiłuje„ wpływami swemi objąć cały naród, jest wszechstanową, wszechpolską. Gdzie tylko polskie serce bije, chciałaby je dla swych idei, swego programu zjednać" [1]). Nie są to czcze słowa. Każde stronnictwo „ogólno-krajowe", pragnąc uchodzić za reprezentację całego narodu, musi być z natury swej „wszechstanowe". Dlatego też historja handlu „stanami", prowadzonego od lat wielu, w różnych epokach przez stronnictwo narodowo-demokratyczne, podaje fakty sprzedaży włościan w niewolę rządzącym obszarnikom, dokonanych w zamęcie wszystkich klas, częściowo zorganizowanych w stronnictwie, i przy tłumionem biciu serc panów na roli, ciągnących zyski

[1]) № 230 „Gazety Warszawskiej".

z wszechpolskiej idei narodowej. Działając zaś istotnie w interesie niewielkiej grupy plutokratów, agrarjuszów i politykujących ex-dziedziców i możnowładców — narodowa-demokracja może nie mieć „żadnych uprzedzeń stanowych”, ani też służyć „interesom stanowym”, może natomiast „czynnie zwalczać w całym narodzie politykę stanową i podziały na partje” i przechwalać się, że nie tylko *sama* chętnie staje do walki na każdym posterunku narodowym, ale, — „organizuje dla walki tej wszystkie klasy, nie bacząc na nabyte już przez innych prawa do wpływu na dany stan.”

Narodowa demokracja, będąc przemożnym ośrodkiem „wszechstanowej” reakcji, z natury rzeczy spełniać dziś musi rolę stronnictwa rządzącego. Zmiany odbywające się w łonie organizacji wszechpolskiej—częściowe rozłamy i nominacje nowych przywódców na miejsce wyłączonych, nie są bynajmniej symptomatem ostatecznego upadku demokracji narodowej (jak to niedawno głoszono powszechnie); są to natomiast wskaźniki przesilenia, wywołanego przez krystalizację żywiołów wyraźnie reakcyjnych.

Tym sposobem z zużytego w matactwach wstecznych wszechpolskiego oblicza usunięte zostaną sfinksowe rysy demokratyzmu, które zresztą zlekka nawet nie przypominały nigdy szlachetnych rysów dawnej demokracji mieszczańskiej; wówczas ukaże się nam już bez maski liberalnej i togi patrycjuszowskiej prawdziwa w swej istocie kreatura polityczna.

H. L.

Pro domo mea.

W odpowiedzi na artykuł umieszczony w № 29 „Społeczeństwa”, dotyczący ruchu zawodowego w naszym kraju, znalazłem 2 artykuły: p. Sowadskiego w № 32 „Społeczeństwa” i p. Warskiego w № 3 „Młota.” Na artykuły te choć w krótkości odpowiedzieć widzę się zmuszonym.

P. Sowadski namiętnie zwalcza omawianą w artykule mym kwestję wstępowania ogółu robotników do „polskich” związków zawodowych. Argument jego—to psychika robotnika, z którą liczyć się musimy, to łatwość obałamucenia robotników przez przewódców, stojących na stanowisku interesów klas posiadających. Przytacza p. Sowadski przykłady z dziedziny liberalnych związków niemieckich, żółtych francuskich i dowodzi ich szkodliwości. Zapomina jednak, że związki tych typów istnieją równolegle obok związków klasowych, że gromadzą przeto, albo wyrzutki klasy robotniczej, albo ciemne, obałamucone tłumy, że u nas sytuacja jest odmienna; związki bowiem „polskie” są przeważnie nie równoległe do klasowych, lecz są to *jedyne* związki istniejące legalnie. I nie *powinien* proletarjat, jak pisze p. Sowadski „wyzyskać najmniejszej możliwości działalności legalnej”, lecz *musi* to uczynić i *muszą* powstać legalne związki zawodowe; ale p. Sowadski nie widzi drogi, na której powstać by te związki mogły; niesłusznie przeto tak „z całą stanowczością potępia nawoływania” (jakie, gdzie?!) „do popełniania zabójczego błędu, jakim jest wstępowanie do „polskich związków.”

Na niektóre argumenty p. Sowadskiego odpowiadam w dalszym ciągu przy omawianiu artykułu p. Warskiego.

P. Warski dobrych chęci wprawdzie mi nie odmawia; widzi jednak we mnie i ludziach moje poglądy podzielających, ni mniej, ni więcej, tylko „największe niebezpieczeństwo dla ruchu robotniczego”, niebezpieczeństwo większe niż to, które zagraża ze strony wszystkich wrogów klasy robotniczej, ze strony całej sprzymierzonej reakcji. Polegać ma ono na tem, że poglądy w artykule moim wyrażone prowadzić mają robotników na bezdroża „konserwatywnego trade unionizmu.” Czy skutkiem wstąpienia świadomych robotników do istniejących „polskich” związków zawodowych byłoby nadanie tym związkom konserwatywnego charakteru — wielce to dla mnie wątpliwe. Raczej wydaje mi się abstynencja w tych związkach żywiołów oświeconych, przy równoczesnem udostępnieniu związków dla mas szerokich, prostą drogą do nadania tym związkom kierunku nieodpowiedniego. Niebezpiecznym mi przeto wydaje się bojkot tych związków wobec nieistnienia równoległych organizacji równie dostępnych, a kierowanych umiejętnie. Niebezpieczeństwo to wydało już swoje owoce i wśród sfer robotniczych, zbliżonych poglądami do p. Warskiego. Dla tego też skłonny byłbym do uważania poglądów, głoszonych przez p. Warskiego w artykule, umieszczonym w № 3-im „Młota” nie za najniebezpieczniejsze wprawdzie dla klasy robotniczej w chwili dzisiejszej, nie mniej jednak — niewątpliwie za niewłaściwe.

Zresztą poglądów p. Warski konsekwentnie do końca nie przeprowadza. Cytowany przeze mnie w pierwszym mym artykule, artykuł p. Warskiego w № 7-ym „Trybuny” brzmi nieco odmiennie, jakkolwiek nie wyraźnie.

I nie pomoże tu p. Warskiemu jego wypowiedzenie się w „Młocie”, żem go nie zrozumiał. Osobliwie też zbudował p. Warski swoją argumentację w tym względzie. Zamiast wyraźnie wytknąć mi miejsca artykułu, których jakobym miał nie rozumieć, p. Warski usiłuje dowieść, że jestem wogóle niezdolny do zrozumienia tego, co pisze p. Warski. Niezdolność zaś moja w tym względzie ma być wynikiem tego, że ja mam stać w dziedzinie ruchu zawodowego „na gruncie burżuazyjnym.” Oczywiście papier cierpliwy; pisać wszystko można, ale dowieść trudniej. Otóż argumentem mojej „burżuazyjności” ma być zdanie następujące, odszukane przez p. Warskiego w moim artykule: „Związki zawodowe u nas powstawały wśród powszechnego chaosu i zamętu, miały zaś na widoku na razie zadowolenie pewnej najpilniej odczuwać się dającej potrzeby — wprowadzenia pewnego ładu przy załatwianiu zatargów pracy.” Zdaniem p. Warskiego powyższe pojmowanie *widoków* związków zawodowych zdradza „burżuazyjność.” Ja byłbym skłonny do wytknięcia p. Warskiemu różnicy jaka zachodzi pomiędzy pojęciami przyczyny, pobudki i powodu z jednej strony, celu zaś, dążenia i widoku z drugiej.

Jeżeli istotnie związki zawodowe robotnicze kierowane przez klasy posiadające mają na celu m. i. łagodzenie zatargów, wynikających ze sprzeczności istniejących w ustroju kapitalistycznym, to i z drugiej strony niewątpliwie zorganizowana w związki zawodowe w kierunku demokracji, klasa robotnicza ma *na widoku* (nie na celu) wprowadzenie ładu przy załatwianiu zatargów, wynikających z walki klasowej. Tem wprowadzaniem ładu m. i. różni się taktyka demokracji robotniczej od taktyki anarchistów. Niesłusznie też p Warski przeinacza nieco myśl moją, mówiąc o tem, że tylko burżuazji owa potrzeba wprowadzenia ładu najpilniej odczuwać się dała. Każdy, kto pamięta lata 1905 — 1906 wie, jak poważnie na organizacjach politycznych ówczesnych ciążyły zatargi natury ekonomicznej, jak bardzo dokuczliwym był brak organizacji zawodowych, któreby wprowadzały ład w toczącej się walce ekonomicznej.

Przeinaczył również p. Warski nieco myśl moją, dopatrując się w delegacjach fabrycznych zaczątków przyszłych sądów rozjemczych. Starostów w artykule mym byłem skłonny uważać za instytucję, która w pewnych warunkach rozwinąć by się mogła i zastąpić dawne delegacje fabryczne. Zresztą myśl moja rzucona była luźnie; nie w postaci twierdzenia, i jest istotnie płodem mej wyobraźni, opartym jednak niewątpliwie na pewnych przesłankach ściśle rzeczowych. Nie zamierzam w sprawie powyższej, jako zbyt niedojrzałej, kruszyć kopji; stwierdzić jednak muszę ścisłą analogję, zachodzącą pomiędzy taktyką uprawianą przez p. Warskiego w latach ostatnich w dziedzinie związków zawodowych, a jego taktyką dzisiejszą w dziedzinie instytucji stosunków politycznych. Ponieważ jednak od taktyki tej ogólnej czynione są odstępstwa, nie mam przeto żadnej pewności, czy p. Warski za kilka miesięcy nie napisze artykułu nawołującego do wyboru starostów.

I tutaj nasuwa mi się jedna jasna odpowiedź: p. Warski uznaje mię za „najniebezpieczniejszego" dla ruchu robotniczego zawodowego, dlatego, że ja rzekomo do kwestji formy sprowadzam istotę ruchu zawodowego. Najżywiej przeciw temu protestuję i najkategoryczniej zarzut ten w większym lub mniejszym stopniu skłonny jestem postawić różnym mym przeciwnikom, włączywszy w nich w danym wypadku p. Warskiego. Nie o formę, ani o firmę mi idzie; nie na nazwie mi zależy, lecz na duchu, jaki w daną formę będzie wtłoczony. I właśnie dlatego, że potrzebne są kadry organizacyjne dla szerzenia pewnego ducha, nie obawiam się ani „polskich" związków robotniczych, ani starostów fabrycznych. Każda legalna placówka robotnicza jest dla mnie niepoślednią wartością bez względu na to, jaką ma nazwę. A legalność jej dla mnie wartość posiada dla tego, że połączona jest z nią dostępność, że najściślej z nią zespolona jest masowość; że organizacje, które na legalności nie polegają, z konieczności narażone są dziś mniej lub więcej na nabieranie charakteru spiskowego, że grozi im niebezpieczeństwo zostania stowarzyszeniami wzajemnej adoracji. Jawność jest koniecznością, a bez legalności w warunkach dzisiejszych jest ona niezmiernie utrudniona. I dla tego, komu o treść, nie o formę chodzi, ten potrafi ją wtłoczyć wszędzie, a o firmę nie dba.

Zbyt energicznie, jak na materjalistę, zwalcza też p. Warski insynuowaną mi formułę, której zresztą w artykule swym nie znalazłem, jakoby „wszystko samo się zrobić miało", jakoby żadnej specjalnej akcji uświadamiającej wśród robotników prowadzić nie było trzeba. Ależ owszem, trzeba, niewątpliwie! Tylko że te katechizmowe przykazania okropnie przypominają nakazy dowódców „rewolucyjnych" którzy myślą, że „zrobią" historję.

O innych błędach, które wytknąć by można p. Warskiemu, chyba mówić nie będę. Wspomnę tylko, że z wielkiem zdziwieniem wyczytałem jakoby kadeci usankcjonowali dzieło 16-go czerwca; że wiele miejsca zajmujące rozróżnianie przez p. Warskiego reakcji „od wewnątrz", która ma jakby trwać i wzmagać się, od reakcji „od zewnątrz", która musi łagodnieć, stanowi dla mnie czczą frazeologję, ujawnioną w dalszym ciągu przez autora artykułu, gdy wyznaje, że „metody reakcji dotychczasowej muszą pierwej czy później ustąpić miejsca metodom, przynajmniej trochę zbliżonym do reakcyjnych i policyjno państwowych metod burżuazji zachodnio europejskiej"; że to „później", zdaniem p. Warskiego, już następować zaczyna, domyśleć się można ze zmiany poglądów p. Warskiego na sprawę legalizacji instytucji robotniczych.

Wreszcie za wybitnie błędny uznać muszę sąd, jakoby kiedykolwiek związki partyjne były realniejsze i silniejsze od bezpartyjnych. Doszczętne bankructwo pierwszych było wynikiem ich niemocy wewnętrznej; chwilowe osłabienie zaś ruchu zawodowego bezpartyjnego jest wynikiem nie jego „wewnętrznej niemocy", jak się p. Warski wyraził, lecz represji stosowanych do całego ruchu zawodowego robotniczego w państwie rosyjskiem.

Edward Grabowski.

Zygmunt Kisielewski.

ŚWITY.

1)

Stefan Sarnecki siedział przy długim stole, zbitym z białych desek, na którym leżały porozrzucane w nieładzie książki i papiery. Mała lampka, zawieszona tuż nad stołem, kopciła, a szeroki, w ostre promyki porozszczepiany, żółty język płomienia bryzgał w poczerniałe szkiełko pyłkami sadzy. Skąpe światło nie dosięgało szerokich kątów dużej, chłopskiej izby, tak, że w pełnem mniej więcej oświetleniu znajdował się tylko stół i skulona postać Sarneckiego. W cieniach pogrążona twarz błyskała jasnością czoła, z pod którego wyglądało dwoje oczu:—zmęczone, wyblakłe, niekiedy zalśniły ogniem, który wnet gasnął, jak promień, co na chwilę ozłocił staw ciemny i zaraz uciekł za chmury.—Sarnecki sięgnął po zegarek. W pół do jedenastej. Wstał z krzesełka. — Pusty pokój, półmrok gnieżdżący się w rogach, cisza w chałupie i ode wsi, bo nikt nie czuwa, wszyscy śpią snem twardym, ludzi spracowanych—on jeden, samotny... Właśnie coś zaszeleściało w kącie. Sarneckiego przeszył dreszcz. Lękliwie obejrzał się poza siebie. Na ustach przewinął mu się krótkotrwały, gorzki uśmieszek.—Jakże beznadziejnie smutne jest życie. Tam za ścianą śpią ludzie, którzy zapewne jutro wstaną wraz ze słońcem i będą pracowali, Boga chwaląc. Ale może już nigdy nie wstaną? — może zasną na wieki i będą leżeli jak zeschnięte kłody, jakieś kształty form, w których kiedyś była dusza. Cisza martwa trwać już będzie zawsze, zawsze... a on jeden będzie tu siedział w tej izbie obcej, chłodnej, oświetlonej trupiem światłem, a naokoło pustka i nic — — Sarnecki zgasił lampkę i wyszedł.

Czyste powietrze lasu orzeźwiło go. Wyprostował się, odetchnął, wciągnął pełnemi płucami powietrze. Minąwszy ogródek, oparkaniony na krzyż splecionemi kołkami, wstąpił na wązką, twardą, wydeptaną drożynkę polną, prowadzącą do lasu. Szedł prędko, coraz prędzej. Z ukosa przerznąwszy podłużny szmat lasu, na drugim jego brzegu zatrzymał się na polance, która w księżycu świeciła, jakby srebrna misa pośród czarnej masy drzew.—Zaszemrało w nim uczucie radości. Z wolnych przestrzeni między sosnami, od strony pól, wyłonił się obraz dziewczyny. Młoda i giętka, jak pręt wikliny wyciągała do niego ramiona, uśmiechem nęciła. Nadzieja oczekiwanej rozkoszy zgniotła w nim wszystkie inne myśli. — Czem byłoby życie bez niej? — Zatopił się w rozpamiętywaniu miłosnem. Wyobrażał ją sobie nago leżącą gdzieś tutaj, pośród pniaków, w trawie, tutaj, gdzie niedawno spędził z nią wieczór. Widział jej małe piersi i biodra i zwinne nogi, wpijały się weń jej duże, zachłanne usta, czuł na swych wargach jej pocałunek. Krew z szu-

Laicyzacja Hiszpanji.

(Dalszy ciąg).

Otóż takie same horoskopy stawia Rzym i p. Canalejasowi, popierając przepowiednie swoje istotnie niepokojącemi przykładami minionej przeszłości. „Deklaracja p. Canalejasa—mówi Stolica Apostolska—bynajmniej nas nie przekonywa ani wzrusza; pomyślne przeprowadzenie wyborów i osiągnięte sukcesy również do niczego nas nie obowiązują. Wiemy doskonale, że powodzenie partji rządowej spoczywa dotychczas na szali wypadków, która może każdej chwili przeważyć na naszą stronę. Mieliśmy wielokrotne dowody, potwierdzające właśnie to ostatnie przypuszczenie W roku naprz. 1891 w Kortezach przeważały elementy konserwatywne, na czele rządu stanął więc konserwatysta, p. Canovas. W r. 1893 Kortezy były liberalne, i na czele władzy stanął liberał, p. Sogasta. W r. 1896 teka prezesa ministrów wraca do rąk p Canovas; w roku 1898 otrzymuje ją znów p. Sagasta. I gra ta kontynuuje się w tym samym porządku. W roku 1899 nawą państwową kieruje p. Silvela, klerykał i konserwatysta; w roku 1901 p. Sagasta; w roku 1903 p. Silvela; w r. 1905 p. Montero Rios — liberał; w roku 1907 p. Maura... P. Canalejas kontynuuje tradycję tej gry na szachownicy *przypadków*. Atakując ustawę o kongregacjach, p. Canalejas przygotowuje sobie ten sam los, co p. Lopez Dominguez, któremu również zdawało sie, że nas zgnębi. Ale jeszcze nie tak prędko"...

Jednakże— dodajmy—jest to tylko pozorny, zewnętrzny—udany optymizm. W gruncie bowiem rzeczy, kler drży porządnie o swoją skórę i, zdając sobie doskonale sprawę z tego, co mu grozi, przygotowuje się do kampanji zawziętej, energicznej, trwałej i być może nawet—co oby się nie sprawdziło—krwawej.

V.

P. Canalejas rozpoczął swoje urzędowanie—jak wiadomo z depesz — od przedstawienia Kortezom do zatwierdzenia bardzo drobnej reformy, zasadzającej się na zmianie artykułu 11 konstytucji hiszpańskiej, który to artykuł zostaje zinterpretowany czy uzupełniony w tym duchu, że przebywającym w granicach państwa hiszpańskiego niekatolikom nadaną zostaje swoboda religijna i prawo używania wszelkich kultów, różnych od religji katolickiej. Katolicyzm, który od wieków uchodzi za narodową religję Hiszpanów, na tę tolerancję religijną p. Canalejasa zgodzić się nie chce i nie może. I ze swojego punktu widzenia ma zupełną słuszność. Przeczuwa doskonale, że ta „drobna" reforma — w razie jej uchwalenia — może być grobem nietylko dla klerykalizmu, ale i religji wogóle. Religijność współczesna nie potrzebuje więcej nad drobne pchnięcie, by stoczyć się w przepaść po równi pochyłej. Zmiana konstytucji hiszpańskiej w duchu proponowanym przez p. Canalajesa, sprawi, że obecnie ministrem w Hiszpanji będzie mógł być nietylko katolik, ale protestant, albo nawet—*horribile dictu* — ateista!... Przysięga odbywać się będzie, nie jak dotychczas na Ewangelję, lecz przez zwykłą obietnicę, i przysięga ta rozciągnięta zostaje na wszystkie akty cywilne a więc tem samem obowiązywać będzie i w trybunałach sądowych. Jak wielkie znaczenie ma zmiana przysięgi dowodzi nadzwyczaj przychylne traktowanie tej reformy przez prasę liberalną. Gazety *El Liberal* i *El Diario Universal* upatrują w tem pierwszy krok na drodze do sekularyzacji państwa. Należy wszakże pamiętać, że w Senacie elementy klerykalne są dość liczne i że przeto uchwalenie tej reformy jest wątpliwe.

Prócz powyższych zmian, gabinet hiszpański obiecuje wprowadzić cały szereg innych. Już podczas otwarcia sesji parlamentarnej, mowa tronowa zawierała kilka znamiennych ustępów: podciągnięcie kongregacji zakonnych, czyniących ogromne spustoszenia w stanie ekonomicznym kraju, pod przepisy ogólnej ustawy o stowarzyszeniach; zamknięcie tych klasztorów, których ustawy nie zgadzają się z nowemi prawami lub które rząd uważać będzie za szkodliwe albo poprostu za zbyteczne; przeprowadzenie gruntownej rewizji ustawy z r. 1887, tyczącej się legalizacji nowych stowarzyszeń i dającej wyjątkowe przywileje instytucjom religijnym. Niezależnie od tych reform

---

mem pędziła do rozgorzałej głowy, a usta szeptały imię: Regina, Regina ..—Nagle z oddali zaleciał cichy jęk.—Czy mu się tylko zdawało? Czyjś szloch? — Musiało mu się wydać chyba tylko. Któżby w lesie, w nocy? — To tamta płacze, krzyknęło w jego mózgu, ta, co cię kocha, jak nikt nikogo nie kochał na świecie.— Łkanie odzywało się w nim coraz głośniej, coraz okrutniej, natarczywiej. Echa płakania rzuciły się zewsząd, zatruwając marzenia miłosne o tej, którą oczekiwał. Cieniutkie, ostre, piekące węże rozpaczy oplatały wizję leśnej dziewczyny, zaciskały się na jej narcyzowej szyi, wbijały żądła w usta wabiące. Dusza Sarneckiego szamotała się bezsilna, jak gałąź brzozy szarpana wichrem. Zaskoczony nowym paroksyzmem walki, jaką toczył od dłuższego czasu, drżący, obezsilniony fizycznie, położył się na trawie. Przymknął oczy i omdlały oddał się przemocy rozdzierających uczuć, które, jak wyrzut sumienia, ssały krew z pod serca. Doznawał uczucia, że w jego piersi utworzył się pasorzyt, który roztacza sieci swych ramion długich, niciastych, czepia się wyrostkami żył, wrasta w kości, w kręgi, w mózg i pije krew. On, Sarnecki, żyje po to, aby żywić tego pasorzyta. Czyż nigdy się nie wyzwoli od niego? Czy już na zawsze być ma ofiarą krwi pożądaniem rozpalonej, tęskniącej do uścisku kobiety? — Sarnecki widział się zależnym, niewolnym. Wspomniał szczęśliwe godziny marzeń młodzieńczych. Snił wówczas o walkach i poświęceniu się żołnierza, idącego pośród gradu pocisków, mimo przeszkody, wbrew rozwadze, opierającej się na obliczeniu. Wtedy to śpiewało jeszcze w nim życie hymn zwycięski. Nie wiedział, gdzie mu wyznaczony posterunek, ale przeczuwał godzinę powołania i ta nadzieja, żywiona od dzieciństwa była mu słońcem opromieniającem pozory nikczemnej codzienności. — A teraz co? — Wszystkie marzenia są tylko majakami. Okłamywał się, bo skoro stanął wobec realnej zawady, runął z wysokości zamków. Zdeptał tamtą, Janinę, tak!—depcze ją nieustannie, ją jedyną, która wiarę jego podtrzymywała—i wije się teraz, jak padalec żeleźcem przybity do ziemi. Duszę swą zdradził, Janinę zdradził, o wszystkiem zapomniał: jedyną, od której teraz życie jego zależy, jest ta dziewczyna. Wszystko padło odrazu, nic, nic niema na świecie. Nic już niema jasnego, wszystko jest puste i próżne jak skarbona, z której wykradziono złoto. Takie jest życie—rozmyślał Sarnecki.

Ale jego własna myśl zwróciła ostrze przeciwko niemu.—Nie życie jest takie, ale ty jesteś taki. Czasby już dać spokój tym wzajemnym a wielce wygodnym okpiwaniom siebie i innych.—Nic zresztą dziwnego i ja przecież jestem dzieckiem współczesnego zdechlactwa. Każdy gamoń musi sobie wytłumaczyć przyczynę swego niedołęstwa. I na to trzeba odwagi, aby sobie powiedzieć prosto i szczerze: jestem nędzarz i wiem, gdzie moje miejsce. — Zbadać, zanalizować i oto wszystko zrozumiałe, proste, ba—konieczne. Inaczej nawet być nie może! Tak mówi dzisiaj—kpił Sarnecki. O, jak on nienawidzi tego marnego, wykrętnego dzisiaj!—Oto jestem nędzarz, gdyż miałem takich

rząd obiecuje jeszcze w najbliższej przyszłości zająć się sprawą robotniczą, kwestją obowiązkowej dla wszystkich służby wojskowej, kwestją sanacji stosunków w zarządach ministerjum wojny i marynarki i t. p. Na specjalne podkreślenie zasługuje projektowana i daleko idąca reforma szkolnictwa a zwłaszcza nauczania początkowego; reforma ta ma być przeprowadzona w duchu laicyzacji szkoły.

Ostatnie depesze z Hiszpanji przynoszą wprost skandaliczne wieści. Oto minister sprawiedliwości *już wniósł* do Senatu projekt zmiany przysięgi, która istotnie wprowadzona zostaje do wszystkich aktów cywilnych i do trybunałów sądowych i która zasadza się na „zastąpieniu przysięgi przed krucyfiksem zwykłą obietnicą *(la substitution d'une simple promesse au serment)*. P. Canalejas, z którego interlokutował korespondent *Matin'a*, zapewnił, że Watykan nie sprzeciwi się projektowi, nie ośmieli się bowiem wtrącić w sprawy hispańskiego ministerjum sprawiedliwości; p. Canalejas oświadczył jeszcze, że obecnie w ministerjum opracowywany jest projekt zastąpienia ślubów religijnych przez *śluby cywilne*.

Hiszpański *Związek Merkantylny*, którego członkowie związani są z madrycką Izbą handlową i ze wszystkiemi dziedzinami handlu w państwie, wystosował do prezesa ministrów petycję, w której domaga się niezwłocznego przedsięwzięcia całego szeregu środków radykalnych, któreby ostatecznie położyły koniec rujnującej konkurencji, wytwarzanej przez kongregacje religijne i grożącej poważnym kryzysem handlowo-przemysłowym, oraz pozbawiającej zarobków liczne warstwy robotników [1]). Petycja zwraca dalej uwagę, że jedynie skutecznym środkiem będzie, jeżeli „rząd wyrwie zło z korzeniem, t. zn. ograniczy prawa kongregacji tylko do spraw religijnych i zabroni im zajmowania się zawodami, w których są profanami”.

---

[1]) Niektóre kongregacje religijne w Hiszpanji zajmują się handlem i przemysłem. A ponieważ nie opłacają żadnych podatków, korzystają z darmowych rąk roboczych swych członków, z bezpłatnego lokalu i t. p. — przeto rzecz zrozumiała, mogą swobodnie konkurować z zawodowemi przemysłowcami lub kupcami.

Petycja kończy się ostrzeżeniem, tolerowanie anormalnych stosunków, musi w końcu doprowadzić kraj do ostatecznej ruiny ekonomicznej... „nous allons tout droit à la ruine, parce que nous arons à lutter contre la concurrence de gens qui ne payent pas ni loyer, ni droits de douanes, ni main-d'oeuvre, ni contr butions, et que la lutte est impossible dans des conditions aussi inégales”.

Ale to jeszcze nie wszystko, jakkolwiek mówi już bardzo wiele. Obecnie i Izba przygotowuje się do całego szeregu aktów rehabilacyjnych: przedewszystkiem posłowie pragną przynajmniej częściowo zmyć hańbę, jaką okryła się ich ojczyzna przez dokonanie potwornego mordu na osobie *niewinnego* Ferrera. Dnia 6 czerwca r. b. podczas dyskusji nad mową tronową, deputowany Barcelony, Emilano Iglesias, wypowiedział długą i poważnie argumentowaną mowę, w której wytłumaczył przyczyny rozruchów zeszłorocznych w Barcelonie, przyczyny nagłego zastosowania gwałtownych represji i haniebnej kaźni Ferrera. Poseł Iglesias oświadczył, że ma w ręku dowody, iż były minister spraw wewnętrznych, La Cierva, dwukrotnie wysyłał do gubernatora Barcelony depesze, *dowodzące, że rząd domagał się głowy Ferrera* (qui prouvent que le gouvernement voulait la mort de Ferrer). Poseł kończy swą mowę oskarżając całą radę wojenną, która sądziła Ferrera, *o szalbierstwo* a Maurę, b. prezesa ministrów i p. La Cierva, b. ministra spraw wewnętrznych, o *podżeganie do tego szalbierstwa* (d'etre ses instigateur de ces prévarications). Przemówienie deputowanego Iglesias'a wywarło głębokie wrażenie.

W sprawie tragicznych perypetji, towarzyszących męczeńskiej śmierci hiszpańskiego wolnomyśliciela, zabrał również głos poseł Salillas, który, jako dyrektor więzień, m. in. i więzienia, w którym osadzony był Ferrer, miał sposobność obserwowania go przez pewien czas i dojść do pewnych konkretnych wniosków. Deputowany Salillas oświadczył, że Ferrer nie był zdolnym działać na masy i nawoływać do buntów; jedynem jego marzeniem była troska o założoną przez siebie Szkołę Nowoczesną, w którą Ferrer włożył całą swoją energję i całą swoją duszę. Będąc

---

a takich rodziców, gdyż urodziłem się w takich a takich czasach, wśród takich warunków społecznych i politycznych, gdyż źle się odżywiałem, gdyż źle mnie wychowano—ha! ha! ha!—„Nie jam był winien, lilja była winna”. Nie! nie! Może to kogoś zadowolić i usprawiedliwić marność jego życia, ale nie mnie, niestety, nie mnie.—Ten głos jadowity, który mi mówi: tyś sam winien, ty sam, a nie kto inny! O nie uratujecie mnie poczciwe mądrości. mąko na pigułki dla współczesnego klowna, aby snać kiedyś zadławiwszy się własnym brudem, nie musiał się obwiesić ze wstrętu do samego siebie.—O nadczłowieku!— przybądź mi na pomoc, wydrzej ze mnie sumienie, a uwielbię cię prorokiem — biedaku! — Ale i z tobą krucho, korono stworzenia, królu-błaznów. I ciebie zżera dyskretnie, ale skutecznie choroba, więc się śmiejesz, śmiechem bogów, a jakże, śmiechem bogów! Och żebym się od ciebie nauczył bodaj tego wykpiwania się przed życiem! Nie umiem. — Więc nie takie jest życie, bratku, inne jest, przyjdzie inne—tylko ja jestem taki, ja, ja...

Ja! Ale dlaczegóżbym nie miał być takim? Nie znam prawa, któreby mi nakazywało wyrzec się jej. Dlaczego nie miałbym oddać swego losu w jej ręce: zniszcz go, zrób z nim, co ci się zechce. Nie wyrzeknę się jej —nigdy! Nie mogę!—Jej głos wystarczy! — z daleka spostrzeżony jej kapelusz, ruch drobnych jej piersi; jedno pragnienie: mieć ją, pieścić! — jej ciało, nagie piersi, zapleść się w nią, jak się w jej ciało wginają jej suknie, zróść się w jedność uściskiem, zmiażdżyć te usta, zagryźć na śmierć, do ostatniego tchu, chociażby sczeznąć wtedy, stlić się, umrzeć w jej uścisku.

Zagłębiony w myślach i obrazach zmysłowych poczuł nagle czyjś gorący oddech, jakieś dłonie pieszczotliwie dotknęły jego policzków, czyjeś włosy pachnące konwalją musnęły skroni. Prężne ciało kobiece przygarnęło się namiętnie do jego piersi i nóg. Jego wargi zostały wessane przez wilgotne, słodkie usta, z których wyskakiwały kąsając dwa rzędy lubieżnych, rozpasanych zębów. Drżenie obezwładniającej rozkoszy załaskotało w nogach.

— Przyszłaś!

— Mój mały..

— Kochasz mnie?

— Kocham, kocham...

I znowu usta wpaliły się w napęczniałe wargi. Dygocące ręce rzucały się błędnie po całem ciele, pieściły twarz, badały okrągłość piersi, jedwabistość łona, sprężystość i giętkość nóg. Nogi zakręcały się około nóg, piersi parły w piersi, jakby ciała obojga w męce miłosnej chciały się zjednoczyć, jakgdyby każde z nich pragnęło się unicestwić dla siebie, a zlać z drugiem w jedność. W kurczowo powykręcanych ramionach, biodrach, nogach, w pożądliwych, bolesnych, upojonych a równocześnie jakby rozpaczliwie stęsknionych oczach, w wyuzdaniu wiążących się ciał— wytężały ich istoty wszystkie swe siły, oślepłe złudzeniem możliwości wyzwolenia się. Oddala mu się Zda-

w więzieniu, Ferrer powtarzał wciąż i każdemu, „Vive l'école moderne! Vive l'école moderne"! pod tym względem mógł nawet uchodzić za manjaka: wargi jego wciąż nerwowo szeptały te same wyrazy[2]). Salillas zauważył, że Ferrera czekała śmierć już podczas pierwszego procesu w r. 1906, kiedy zupełnie niesłusznie wtrącono go w sprawę wybuchu bomby na *calle Mayor*, ale że wówczas rząd nie odważył się na egzekucję— której gwałtownie, jak i za ostatnim razem domagał się Watykan — przez wzgląd na opinję świata kulturalnego, który ostro protestował przeciw aresztowaniu Ferrera. P. Maura był bardziej odważny: usłuchał podszeptów torquemadystów — i dostarczył głowę Ferrera panu Merry del Val'owi. Kontynuując swoje przemówienie, żąda w konsekwencji p. Salillas *gruntownej rewizji procesu Ferrera, przeniesienia sprawy do sądu cywilnego oraz pociągnięcia do odpowiedzialności sprawców zbrodni.*

Depesza z d. 7 czerwca donosi, że wyborcy republikańscy Madrytu wysłali do swych posłów petycję, zaopatrzoną w wiele tysięcy podpisów i domagającą się niezwłocznego—jeszcze przed ferjami letniemi—uchwalenia *szerokiej amnestji dla wszystkich osób*, które brały udział w wypadkach lipcowych roku zeszłego, wszczęcia dyskusji nad wypadkami które zdarzyły się w tym czasie w Barcelonie, powtórnego zbadania sprawy niefortunnego zaangażowania się rządu w skandaliczną aferę kolonjalną—wojnę z Melilą — oraz pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej osób, które bezpośrednio przyczyniły się do wywołania skandalicznego zatargu i tem samem krwawych następstw, jakie za sobą pociągnął[3]). Petycja w końcu zawiera uwagę, że rewizja tych trzech spraw, które porusza, wykaże tyle skandalicznych malwersacji, dokonanych przy bezpośrednim i świadomym udziale kleru i klerykalnych urzędników państwa, że same przez się wystarczą do ostatecznego skompromitowania ich w oczach własnych nawet przyjaciół i zwolenników.

(dok. nast.). St. A—ski.

[2]) W chwili swej egzekucji, mając przewiązane opaską oczy i skrępowane z tyłu ręce i mając ku sobie wymierzone lufy strzelb watykańskich zanim rozległa się salwa, Ferrer odezwał się do żołnierzy w te *historyczne* słowa: „*Hijomios, apuntad bien! No teneis la culpa. Soy innocente. Viva la Escuela Moderna*"*!* (Celujcie dobrze, chłopcy! Wy za to nie odpowiadacie! Jestem niewinny—niech żyje szkoła Nowoczesna!)

[3]) Były prezes ministrów Maura, chcąc obronić interesy materjalne swego szwagra, eksploatującego bogactwa naturalne w kolonjach hispańskich, był głównym sprawcą wojny kolonjalnej z Melilą, która to wojna kosztowała Hiszpanję tysiące ofiar w ludziach, nadwyrężyła i tak dość opłakany stan skarbu i wywołała wzburzenie ludności. Petycja więc wyborców republikańskich zwraca się głównie przeciw członkom poprzedniego gabinetu.

Rozdźwięki.

Wyziewy literackie.

Polemika między p. Niemojewskim i redakcją Młota przybiera cechy wielce osobliwe. Pogląd nasz na tę sprawę wyraziliśmy w numerze poprzednim w artykule wstępnym. Jednak wobec tonu i wyzwisk, potęgujących zapalczywość publicystów i zwiększających temperaturę polemiki — wypada obecnie znów dorzucić słów kilka. Po wydrukowaniu zarzutów, uwłaczających czci redaktora Myśli Niepodległej— tu i owdzie rozległy się protesty, będące osobistym wyrazem oburzenia piszących i - zbiorowego niektórych redakcji pism postępowych i wolnomyślych. Wobec faktu tego, świadczącego bądź co bądź, że nie pokryto milczeniem szkalowania publicznego—mogliśmy oczekiwać od osoby pokrzywdzonej odpowiedzi, pełnej

wało im się, że ciała ich przestały istnieć same dla siebie—nie czuli ich. Chociaż usta spoiły się, chociaż ciała ich wciskały się w siebie z coraz gorętszą żądzą—nie czuli tego. Oczy zaciągnięte mlecznym obłokiem rozkoszy nie widziały świata. Dusze ich zlały się w jedność, weszły w krainę harmonji. Wnet jednakże zapadły wrota. Znękane i zrozpaczone wracały zwolna na ziemię.

Sarnecki ujrzał najpierw gałąź sosny, zwisającą nad nim, jak czarne skrzydło olbrzymiego ptaka. Cierpki uśmiech zadrżał w kącikach ust: czemu? na co? Dlaczego nie umarłem? Rzucił ciężkiem, sennem spojrzeniem naokoło i przymknął znowu powieki. Znowu zatrzasnęło się nad nim zimne, kamienne wieko. Leży odrętwiały, sztywny, głowa ciąży, jak kopuła na cerkwi. Ciemność. Tylko na dnie serca goreje, jak pyłek brylantu, przeświadczenie, że gdzieś tam wysoko, hen daleko, na lazurowych kresach, w świątecznej ciszy nie pokalanych, z róży i błękitu tkanych obłoków, wisi ogromne, promieniejące, wspaniałe słońce. Na zielonych, tęczą kwiatów malowanych łąkach, pośród ogrodów rozkwieconych, przechadzają się w jasnych, uroczystych szatach cudowne istoty, piękne, harmonijne, jak bóstwa greckie. Stąpają dostojnie, cicho, lekko, jak wiatr. Słowa ich, jak ptaki śpiewające, złotopióre, spojrzenia ich, jak promienie słońca, uśmiechy dziecięce. Na pogodnych czołach mądrości powaga i spokój odwagi, z jednakim uśmiechem idącej na łoże miłości i śmierci. Życie i śmierć, dzień i noc: wszystko jest dla nich równie piękne, taksamo konieczne i potrzebne.

Brzask trącił powieki. Sarnecki podniósł się i oparł na lewym łokciu. Księżyc wdarł się między gałęzie i rzucił w oczy srebrnym oszczepem. Obok leżała Regina. Senna poświata zlewała jej głowę obnażoną, marmurową szyję i piersi, łagodnie falujące pod delikatną pianą koronek. Lewą rękę podsunęła pod głowę, osypaną burzą włosów, uperlonych rosą obok rosnącej paproci, prawą obejmowała jego ramię. Sarnecki wpatrywał się uporczywie w jej twarz. Nozdrza drżały jej zlekka, na ustach i oczach unosił się wyraz marzącej błogości. Rozchyliły się wargi, a z głębi zamigotały białe, ostre zęby. Sarnecki patrzył w te usta. Tutaj mieszka zagadka władzy, jaką posiada nad nim ta kobieta: w tych ustach namiętnie półotwartych, wyzywających, w tych zębach, jakby niewinnie a chytrze czyhających. Tutaj urzekająca otchłań rozkoszy, w której czatuje chuć. Regina otwarła oczy. Sarnecki nie poznał ich, tych oczu naiwnie uśmiechniętych, koloru fiołka, patrzących zazwyczaj z takiem oddaniem i dobrocią. Świeciły teraz szklanym, zielonym blaskiem, złowieszczym i niemiłym, jak spojrzenie ślepiów kota, nocą skradającego się na wróble. Spływał od nich na całą twarz i postać lodowaty mróz księżyca, w którym leżała przepiękna, jak zielona jaszczurka, albo jakaś legendarna królewna, sycąca żar swej krwi ciągle nowemi ofiarami, albo kokota wielkomiejska, uprawiająca rozpustę bez miłości. Sarnecki zrozumiał teraz Regi-

godności, lub też zupełnego milczenia, mówiącego wyraźnie, że p. Niemojewski wzniósł się po nad stawiane mu zarzuty takiego gatunku. Jednakże, w razie jakiegokolwiek wystąpienia w obronie czci własnej, można się było spodziewać niezwykłych błysków wymowy, pogrążających raz na zawsze w ciemność krzywdzące ataki o charakterze osobistym. Istotnie, wkrótce ukazała się odpowiedź w druku. Lecz zamiast gromów usłyszeliśmy męczące majaczenie bez związku i myśli przewodniej. Ton naśladujący przeciągłą gwarę żydowską, zrzadka dziś stosowany nawet w pół-inteligentnych świstkach bulwarowych, rozległ się z redakcji programowego i bojowego pisma wolnomyślnego— Myśli Niepodległej. Zastosowany został jako sposób poniżenia przeciwnika, podpisującego nieprzychylne p. Niemojewskiemu pismo. Pozatem redaktor Myśli niepodległej w odpowiedzi swojej zeszedł na stanowisko, potępione już dawno przez ludzi umysłowo wyzwolonych, rozporządzających wielu innemi środkami dla obrony swej zadraśniętej godności. Nie wahamy się powiedzieć, że jeśli p. Niemojewski posiada nawet przeciwników, gotowych przekreślać jego dwudziestoletnią z górą pracę publiczną i literacką—mniej wszyscy razem wzięci zaszkodzić mu mogą, aniżeli jego ostatnie artykuły polemiczne...

Z obowiązku również kilka słów poświęcić musimy p. W. Rzymowskiemu. Dwa jego artykuły w sprawie tu omawianej, drukowane w Prawdzie i Myśli Niepodległej, wywołały wśród wielu z nas, wyzwolonych ostatecznie z wszelkich przesądów i uprzedzeń, nader przykre zdumienie. Znając go jako człowieka oświeconego i jako pisarza o wyrobionych sądach najbardziej współczesnych — nie wyobrażaliśmy sobie, by mógł poniżyć się do postawienia marnych zarzutów publicystom z Młota i do użycia wysoce nie estetycznych zwrotów z okazji głośnego listu otwartego do p. Strąszewicza.

W tym wypadku trudno jeszcze nam się pogodzić z możliwością, by sądy o rzeczach, osiągnięte drogą mozolnej, lata trwającej pracy umysłowej—mogły w przeciągu tygodnia stracić całą swą wartość, siłę uzasadnienia i na kształt lotnego piasku rozwiać się bez śladu.

Lecz gdyby istotnie wspomniane artykuły, do których napisania mimo wszystko trzeba umoczyć już pióro w ścieku, nie były przygodnym i dorywczym wytworem, lecz owocem głębszego zastanowienia—wówczas stanęlibyśmy wobec rzeczy, świadczących, że umysły zakrojone na miarę szerszą w wolnomyślicielstwie stanowią dziś jeszcze u nas mszczące się srodze złudzenia.

Henryk Lukrec.

Szkice miejskie.

Powrót.

Znowu wracam do ciebie, Miasto trawiące. Porwany nienawiścią uciekłem, wytarzałem się po łąkach, znudziłem się na zielonych brzegach malutkich strumieni. Urocze życie wąwozu, gdzie pachnie róża dzika i połyskują krzemienie — zgasło tak prędko. Potoki pluskały po kamykach, ale i kamyki i woda i brzegi były obce, dalekie. Nie cierpiałem ich cichego życia, ich piosenki, rozlanej na strofy spokojne po wieki wieków. I ludzi nie rozumiałem, którzy poruszają się wolno, mówią rozwlekle o drobnostkach—bez porywczego rytmu, jakoby napół spali na zielonych piersiach wsi.

Ledwie dotknąłem stopą bruku twego, Miasto, zgiełk zahuczał, objął mnie żelaznemi ramionami.

---

nę. Pojął, że obcy jest jej w istocie, że nigdy, nigdy pokochać go nie może, a on będzie jej wiecznie pragnął. Usiadł i śmiertelnie znużony patrzył przed siebie, wzrokiem, który niczego nie szuka, nie pytając wpatruje się w nieruchome oczy stwierdzonej prawdy.

Regina usiadła i zebrała rozsypane włosy. — O czem mały filozofuje? — rzekła głosem kapryśnym. Sarnecki nie odpowiedział. Ponure myśli pierzchały, jak suche liście zmiecione wiatrem. Ciepły głos Reginy owionął go lubieżną falą. Jej słowa pachniały mu jak kwiaty, których woni nikt na świecie oprzeć się nie zdoła. Przymknął oczy i poddał się pieszczocie jej głosu, oddał się czarowi idącemu z jej włosów, od jej ciała.

— Czemu mały nie mówi? — zapytał znowu głos szczególny, zgrzytliwy i senny, jak woń soku roztartej gałązki cyprysowej.

Sarnecki nachylił ją ku sobie i zanurzył wargi w jej usta-

— A nie dam—odsuwała go od siebie. Najpierw powiedzieć, dlaczego milczy, dlaczego ma smutne myśli. Ja wiem, może wiem, ale chcę, żebyś sam powiedział. Musisz, musisz powiedzieć wszystko, wszyściuteńko, albo nie dam. Wstanę i pójdę.

— Wstanę i pójdę, powtórzył Sarnecki, jakby zastanawiał się nad znaczeniem wyrazów.

— Nie! nie pójdziesz odemnie. Nie pozwolę!

— Tra-la-la-la – pan i władca. Ha! ha! ha!— nie pozwolę. A jak zechcę, to strząsnę, jak zwiędły kwiatek i zdepczę. Hi! hi! hi! — śmiała się cichutkim srebrzystym śmiechem.—Uwodziciel!

— Bądź zdrów. Może mnie pan odprowadzi? — Wstała i poprawiała suknie.

— No? — mam iść sama? — A jeżeli mnie zbój jaki spotka na drodze i... idę.—Uniosła sukni.

Sarnecki przypadł do jej nóg, objął za kolana.

— Nie chodź odemnie, zostań, Regino! Czyż może cię ktoś tak kochać jak ja? U nóg twoich leżę, widzisz.—Cóż mi życie! Przy tobie muszę być, ciebie jednej chcę, ty jedna masz prawo do mnie i ja, ja jeden do ciebie. Wszystko uczynię, czego tylko zażądasz. Niema nic niemożliwego na świecie, jeśli tylko pokochasz, zostaniesz. Dla ciebie zamorduję, jeśli trzeba, siebie oddam, słyszysz, duszę oddam, rozumiesz to ty? Jedno jedyne moje, bezcenny skarb — Regina, och Regina! Ja cię kocham! Czy wiesz, co to znaczy? Ze kocham... Dzisiaj i jutro i za rok zawsze być przy tobie, tulić twoje łono, piersi, całować twoje usta i oczy i włosy, nigdy nie tracić światła twych szatańskich oczu. Kocham, to znaczy nienawidzę i pożądam, jestem silny, piękny, zuchwały, albo nędzarz, złodziej, szubrawiec, zbrodniarz. Tak, jak ów zbój chyłkiem ułapić cię za nogi, przyciągnąć, przywrzeć do siebie, przyniewolić, a potem rzucić — to jest miłość...

Sarnecki trzęsącemi się rękami, ale mocno, jak obcęgami, ścisnął nogi Reginy, poderwał ją i rzucił sobie na kolana.

— Kochasz mnie?—pytał głosem stłumionym.

Wpadłem znowu między żar przepalający, między tryby i miażdżące zęby. Pierwsze blade twarze przedmieścia napełniły me serce dziką, smętną radością: poznałem w nich piętno twego zatrutego oddechu. Kłęby zwątego dymu wywalały się z czerwonych, rozognionych jak trzon hadesowy kominów. Wozy ładowne grzmiały po granicie. W bramie wśród turkotu i nóg, snujących się bezładnie, spało dziecko. Z za parkanów leciał głos katarynki. Owinięci powrozami tragarze o twarzach granatowych, zapijaczonych piekielnie, opierali się plecami o wątłe, kąpiące się płaczliwie w kurzu drzewka. Dalej witałem twe spiętrzone domy, wędrujące flotyle świateł, księżyce seledynowe, słońca, lejące się czerwonem złotem, okna, krzyczące blaskami i napisami, twe zasunięte w głąb cieniów kościoły, wiecznie włóczące się nierządnice, stroje, pióra, karety, cudowne twarze kobiet, lśniące feeryczne werendy, muzykę, wyśpiewującą marzenia wszystkich wieków i narodów. Poznałem twój rytm żelazny, egoistyczną sytość bogaczów, czarną klęskę bezdomnych, dziki głód w piersiach i żrącą nudę przesytu, wrzawę reklam i skupioną pracę artysty! Przechadzałem się po twardych alejach kamiennych, myśląc o twych kraterach, buchających krwawą lawą rozpusty i zniszczenia, o bulgoczącym tu i owdzie strumyku miłosierdzia, o atłasach, które otulają pyszne łona sprzedajności, o łańcuchach złotych na szyjach opasłych faworytów wszetecznej Fortuny, o ciężkich żelazach, które skuwają dłonie niecierpliwie rwące się do życia, o łachmanach na szarem ciele nędzarza, o oczach tryumfujących i oczach zagasłych, o bezgranicznem morzu cierpień twych białych sal szpitalnych i o zwyciężonych przez ciebie, Miasto, stężałych, rozciągniętych ostatecznie gościach prosektorjum.

Poczucie wspólności.

Kiedy się widzi, jak ludzie w mieście mijają się ostrożnie, spoglądają na siebie podejrzliwie, jak w każdym przechodniu wietrzy się współzawodnika i swego domniemanego zwycięzcę, zdawać by się mogło, że miasto jest puszczą podchodzących się zawzięcie, czatujących na chwilę wzajemnej niebaczności zwierząt. Aż nagle fakt wyjątkowy wywleka na światło dzienne sympatję ukrytą, solidarność międzyludzką. Otwierają się serca pełne wzruszenia i niepokoju...

„Dął tęgi wiatr — porywisty. Na niebie stała olbrzymia, trzęsąca się z gniewu ruda chmura. Zbliżał się już posępny wieczór. Tu i owdzie miasto zapalało ognie. Wisła targała się jak na łańcuchach, poorana w brózdy, poradlona w rozpadliny, szara, zimna, ołowiana. Zielone dale i kępy utonęły w mgłach. Prócz czerwonych świateł, wskazujących głębie, i kilka statków u brzegu, było pusto. Zwykle uwijające się po niej łodzie pouciekały do brzegów.

„Wzięliśmy żaglówkę — opowiada wirtuoz-muzyk — i zaczęli lawirować koło arkad mostu. Wiatr napierał, tłukł w wyprężony żagiel, statek pędził nachylony gwałtownie, jakby za chwilę miał się obalić i runąć w zapieniony nurt. Siedliśmy na burcie, aby utrzymać równowagę i z rozkoszą napawali się poczuciem niebezpieczeństwa, podnieceniem mocno napiętych, czujnych zmysłów—ręki, oka, ucha... Trzymaliśmy na wodzy zły wiatr i gniewną wodę.

O owej porze mnóstwo kobiet pracujących w mieście wraca na Pragę. Spostrzeżono nas. Na moście skupił się stopniowo tłum osób, zainteresowanych nami. Zaczęto wołać: „Warjaty! Warjaty! Co robicie! Potopicie się!" Grożono nam pięściami, złorzeczono, lżono nas... Bardziej czułe kobiety prosiły: „Upamiętajcie się! Przybijcie do lądu! A na to artysta K., z twarzą młodego Mefistofelesa, posyłał im bezczelną ręką pocałunki. Stare baby kiwały z politowaniem głowami i zrzędziły hałaśliwie: „Tak, tak—będziecie wy całować, ale ziemię... Pocałujecie się z topielicami!"

„Spostrzegłem zwieszoną nad parapetem młodą piękną dziewczynę. Miała kapelusz słomkowy, otoczony gazą bladoliljową. Oczy me pochłonęły na mgnienie delikatną matowość jej twarzy. Powiewała ku nam białą chustką, błagała nas czystym, świeżym głosem:

„Zawróćcie! Zawróćcie!"

— Kocham, Stefan, szeptała przerażona, trwożnie go obejmując.

— Kochasz. A iluś już dotąd kochała?—powiedz. Ile ust gryzło te nienasycone usta? Ilu mężczyzn szalało w twych uściskach, ilu ich jeszcze wpędzisz do szpitala warjatów? Kochasz, niewinny gołąbku, boś sprytna i wiesz, że rozkoszniej jest udawać miłość samej sobie i oddawać się temu, kto cię istotnie kocha, niż spokojnie, z wyrachowaniem iść w objęcia po to, czego jedynie pragniesz. A przyjmiesz ze mną święty sakrament małżeństwa?

— Będę twoją żoną, Stefan.

— O rzadka cnoto posłuszeństwa i pokory! I wierną będziesz małżonką, Regino, aż do śmierci?

— Tak.

— Przyrzekasz więc być czystą żoną, nigdy innego nie pragnąć?

— Tak.

Przysięgniesz?

Regina zatrzęsła się spazmatycznie i położywszy głowę na jego piersi, rozpłakała się.

— Boję się ciebie. Dziki jesteś. Przecież żartowałam tylko—bełkotała przez łzy.

— Igrasz ze mną, jak pająk z muchą.

— Nie, Stefan, kocham cię, Stefan, wierz mi!

— Więc jedź ze mną.

— Dokąd?

— Ze mną.

— Zbzikował mały. A rodzina, a mama, bracia?

— Rzuć ich i jedź ze mną.

— Dzieciaku, co też ty pleciesz. Wyrzekliby się, przeklęli, jak zapowietrzoną, która splamiła honor rodziny. — Zaśmiała się wesoło. — Ach ty głowo, głowo! Wszystko dobrze, ale narzeczony! pomyślno narzeczony!

— A cóż mnie twój narzeczony. Nie kochasz go.

— No to i co. Nie kocham.

— Powinnaś go więc rzucić!

— E mały, mały! Dajmy już pokój tym nudnym sprawom. Regina podała mu usta.—Całuj!—Jeszcze!— Znowu się zadumał. Ech ty mądralo. Wierz mi, że za dużo myślisz. I co tam wymyślisz, nowe jakieś strachy. A zlękłam się, jak samej mamy. Tylko, że przed mamą zawsze się jakoś wykręcę. — Sarnecki uśmiechnął się. — Zaraz coś nieładnego myśli, brzydal.—Jak ciemno —hu-hu! Słyszysz? Paskudne sowisko. No, odezwij się. Już nic nie widać. Tylko te oczyska twoje świecą. No, Stefan — smutno mi. Fe, jak okropnie, a ten niedobry chłopak milczy jak pień. Stef!

— Co?

— Wreszcie. Gince smutno i boi się. Czarno i chłodno. Uściskaj—no—kochasz?

— Regina! Regina!

(d. c. n.).

„Wtedy wśród wesołości, jakiej doznawałem na widok niepokoju tych istot, nieobeznanych z wodą, czujących wobec rozgniewanej rzeki instynktowny lęk człowieka, który się z nią nie zżył, a przeto przesadza jej wrogość mistyczną. czułem przez chwilę czarowne uniesienie, że w tem mieście ogromnem, gdzie jestem tak samotny wśród tylu ludzi obojętnych, mieszka moja piękna *siostra nieznana*, która w chwili niebezpiecznej zjawiła się upomnieć mnie— abym żył."

L e o n C h o r o m a ń s k i.

CEZANNE
i współczesne malarstwo we Francji.

(Dokończenie).

Portrety Cezanne'a, pojęte w materjale szorstkim wysubtelnionym tylko zwięzłą, prawdziwie rzeźbiarską modelacją, komponowane są z plastyką wprost posągową, jaką tylko spotkać można u starych snycerzy gotyckich, sumaryczną, jak archaiczne rzeźby greckie, niby krzywe, niedołężne, naiwne w rysunku, a magistralne! Jest w nich piękno barbarzyńskich utworów pierwotnych o formach nierozwiniętych, a jednak wielkich, monumentalnych.

Nie są to przelotne impresje, z kaprysu mody chwilowej powstałe malowidła, barwnemi złudzeniami zjawisk pokryte płótna, ale twory wizji, wyrastające organicznie. Bo dziewiczą jest natura, którą jak epik opiewał Cezanne w obrazach komponowanych pomnikowo, gdzie wszystko wypływa z logiki i konieczności architektonicznych i wszystko—linje, płaszczyzny, masy we wzajemnej się wznoszą równowadze.

W monografji poświęconej twórczości Cezanne'a wtajemnicza nas *Emil Bernard* w ciekawe szczegóły, charakteryzujące zarówno osobę mistrza, jak i jego sztukę. Owóż Cezanne miał rzemiosło bardzo uciążliwe. Metoda jego malowania miała nawskroś syntetyczny charakter, polegała na z góry uplanowanych zasadach. „*Wszystko*", twierdził Cezanne, „*modeluje się w naturze sferycznie, stożkowato lub cylindrycznie. Nauczyć się tylko trzeba malować na tych najprostszych figurach, a z łatwością urzeczywistni się już potem wszystko, co tylko się zechce. Rysunek i kolor bynajmniej nie są odrębne od siebie. W miarę, jak się maluje, rysuje się także; im się koloryt więcej harmonizuje, tem się bardziej uwydatnia rysunek. Kontrasty i wzajemny stosunek tonów—to tajemnica rysunku i modelowania*". W liście do Bernarda powtarza on to samo, ale w inny jeszcze sposób: „*Pozwoli Pan, że powtórzę mu to, co powiedziałem za jego bytności u mnie: interpretować naturę sferycznie, cylindrycznie i stożkowato, a wszystko wykreślić w perspektywie, tak, żeby czy to każda strona przedmiotu, czy każdy bok płaszczyzny kierowały się ku punktowi dośrodkowemu. Linje równoległe do widnokręgu przedstawiają bądź przestrzeń, bądź też przecięcie widoku, albo, jeśli to Pan woli: widowiska, które „Pater omnipotens aeternus Deus" roztacza przed naszemi oczami. Linje pionowe do horyzontu dają głębię; otóż natura przedstawia się nam, ludziom, raczej jako głębia, aniżeli jako powierzchnia, stąd ta konieczność wprowadzania w drganie światła dostrzeganego przez nas, a wyobrażonego przez czerwienie i kolory żółte, dostatecznej masy błękitów, po to, żeby dać odczuć powietrze*".

Malując, zaczynał Cezanne od cienia i to plamę którą pokrywał drugą jeszcze gęstszą, a tę trzecią jeszcze, aż wszystkie, tworząc niby ekran, modelowały, kolorując przedmiot. Wszystkie też modelacje szły w kierunku ustalonym już z góry przez rozumowanie. Proceder taki stosowany był do starych gobelinów, gdzie kolory pokrewne kolejno po sobie następują, aż napotykają na kontrast. Jak opowiadają Bernard, Camoin i inni nieliczni, przez przypadek tylko i zbyt krótki czas uczniowie jego, bo nieznosił towarzystwa w swej samotni *w Aix*, Cezanne miał już na palecie gamy gotowe przez całą gradację tonów, które bezpośrednio stosował do swych płócien. Jego kompozycja barwna wytężona najharmonijniej, miała jednak charakter jaknajbardziej chromatyczny. Punktem kulminacyjnym było w niej białko srebra, podstawą kolor czarny, a pomiędzy niemi doskonała gradacja tonów: niebieskich — zielonych i laków żółtych. Taka paleta wolna jest od mieszanin i daje dużo plastyki temu, co się maluje, bo pozwala na silne kontrasty, oddala tony jasne od ciemnych, a cień czyni gorącym. Zupełnie przeciwnie, niż u impresjonistów, dla których kulminacyjnym kolorem jest niebieski.

Że twórczość Cezanne'a nie jest bynajmniej paradoksalną, że jest szczerą, fatalną i ma charakter życia olbrzymi, za tem przemawia jeszcze ten jego upór, który nie był uporem ignoranta, ale artysty wykształconego, mającego umysł prosty, temperament nierozrzutny i idącego tylko za swoją własną wizją. Malarstwo jego jest bezpośrednie i syntetyczne zarazem. Jedna to wielka harmonja, którą miał on w swej duszy prymitywnej.

Temperamentem swym przypomina Cezanne najbardziej niektórych mistrzów hiszpańskich, a zwłaszcza *Zurbaran'a i Greco'a.* Każdy z nich był też przedewszystkiem harmonistą, choć bardziej eruptywnym. U *Greco'a* są to mroczne harmonje światła piwnicznego, widziadła, halucynacje, wizje apokaliptyczne ascety, a u *Cezanne'a* formy naturalne, wtopione w mieniącą się szarość atmosfery, ale nie mniej czynne, nie mniej wymowne.

Wpływ Cezanne'a na dzisiejszą generację malarzy jest nie mniej decydujący, niż Maneta na poprzednią. Manet wyzwolił malarstwo z konwencjonalizmu akademickiego, Cezanne zaś z formuły impresjonistycznej, inaugurując powrót do syntetycznego piękna klasyków. Ale „*klasykiem*", mówił on, „*należy być z przyrodzenia, to jest stać się nim przez czucie*".

Wielki jest *Cezanne* zarówno w fragmentach, jak i w całości, a tak skromne rzeczy, jak jego martwe natury, nawet w szczątkach, po jakichś kataklizmach dziejowych, zachowają jeszcze wielkość swoją. Nimbem i sugescją arcydzieł muzealnych, pięknem wieczyście młodem promienieją jego obrazy.

II.

Dążność do syntezy ma cała młoda generacja malarzy dzisiejszych, ale najdalej w tym kierunku idzie *Matisse.* „Matisse", powiada *André Gide*, „chce abstrakcję malarstwa stworzyć". Pochodzi to stąd, że on i pokrewni mu *Picasso, Friesz, Derain*, przestali naśladować naturę bezpośrednio. Estetyka ich ma wiele cech wspólnych z estetyką nowoczesnej szkoły symbolistów w poezji francuskiej. U *Matisse'a* emancypacja z form konwencjonalnych idzie równolegle z emancypacją symbolistów, piszących wolnym wierszem, z tradycyjnego aleksandrynu, równolegle z modernistyczną muzyką *Debussy* i *Straussa* zwłaszcza, który głosi, że „nawet najdoskonalsze arcydzieło powinno być uważane tylko za posiew w duszach przyszłych pokoleń, by nie zaprzestały tworzyć dzieł większych i doskonalszych." Można się nie zgodzić z tą wiarą w postęp sztuki, ale trudno nie skonstatować, że we wszystkich formach sztuki dzisiejszej zapanowała większa swoboda w opanowaniu treści przez osłonięcie od formuł akademickich i że we wszystkich są już dzisiaj zupełnie określone pojęcia o piękna i różnice upo-

dobań. Kto bowiem ubóstwia Massenet'a, nie będzie słuchał Debussy, lub Straussa; kto pochłania powieści Marcela Prevosta lub wierszydła Rostanda, nie będzie czytał Barrès'a, Elemira Bourges'a, Claudel'a, lub Stanz Moreasa. Tak samo, kto znajduje satysfakcję w oglądaniu obrazów Bonnat'a czy Carolusa Durana, a nawet Simon'a, Blanche'a, lub la Gandary, ten odwróci się od Cezanne'a i od tych jego najbezpośredniejszych następców, których przezwali *grupą „Fauves"* (Matisse i inni). Przezwała ich tak krytyka paryska, którą zaskoczyła tak samo gwałowność w deformacjach i w kolorycie tych malarzy, jak niegdyś ją zaskoczyło swoją nowością malarstwo *Courbet'a* lub *Corot'a*, a w ósmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia Manet'a i impresjonistów. Ćwierć wieku temu przeciwstawiano Klaudjuszowi Monetowi Corota jako klasyka. Dziś przeciwstawia się tak samo Moneta *Matisse'owi*, u którego koncepcja sztuki jest już zupełnie inną, niż u impresjonistów. Konstrukcja bowiam obrazu u Matisse'a jest tak samo uogólnioną, jak na sarkofagu egipskim. Uogólnienie mamy także u impresjonistów, ale jest ono bardziej zewnętrznem, w konstrukcji znacznie materjalniejszej. Matisse zaś dąży do zdematerjalizowanej syntezy natury.

„Obdarzyć przyrodę autentycznością" te słowa Mallarme'go można zastosować do estetyki Matisse'a i symbolistów w malarstwie. Wręcz to odmienne od estetyki naturalistycznej impresjonistów, których dewizą był aforyzm filozoficzny Bacon'a: *„Opanowuje się naturę tylko wtedy, gdy się jest jej posłusznym."*

Nie mniej może, niż wynalazki w nawigacji powietrznej, charakteryzuje chwilę obecną wielka wybujałość ideowego życia w malarstwie, które po wiekowym letargu budzi się, by sobie uświadomić cel i rolę w sztuce. Dziś pod wływem Matisse'a powstaje najmłodsza generacja w sztukach plastycznych już nie tylko przeciwko martwocie formuł akademickich, ale też przeciwko mieszczańskiemu realizmowi, sztuczkom wirtuozów i przeciw pozbawionemu wszelkiej ideowości impresjonizmowi. Ideowość zaś nabiera zupełnie nowego znaczenia i jest wyrazem tej estetyki idealistycznej, względnie symbolistycznej, którą streścił Mallarmé w *„Divagationo."* ***„Sztuczka to rzeczywistość", zdolna utrwalić inteligencję mierną w ułudzie zjawiska, ale opiera się ona przez to samo na pewnej, powszechnej ugodzie: Spojrzyjmy czy niema w ideale obrazu koniecznego, prostego, któryby służył za typ".***

Stosunek swój do Akademji tak określa młoda sztuka francuska: „Musimy sami dbać o swoje wykształcenie, bo ani technicznie, ani umysłowo nic dobrego nie wynieśliśmy z Akademji. Musimy nawet zapomnieć o tej rutynie zgubnej, konwencjonalnej, a rzemieślniczej, bo owo, uchodzące za klasyczne wykształcenie, wcale niem nie jest, a tylko kłam zadaje prawdziwemu znaczeniu klasycznej sztuki, której wysoki ideał trywialnie obniża. W akademjach stan umysłów i atmosfera moralna są zatrważające". [1])—Młodzi przeciwstawiają i sztuce akademickiej i owym zbytecznym produktom malarstwa realistycznego, które świetnie zastąpiły fotografja i kinematograf, i sztuce wirtuozów, opartej głównie na magji wzorków zewnętrznych, które nie wyrażają żadnej treści istotnej, a dają tylko złudzenia optyczne—sztukę *Cezanne'a*, którego świeżość wizji, z jaką on wyobrażał naturę tak organicznie, że nic z jej dziewiczego piękna nie uronił stanowi ów czas niezwykły, a zarazem wielki charakter jego malarstwa.

Jak Wagner na przekór kataryniarzom włoskim, na przekór Mejerbeerowi zrewolucjonizował całą estetykę w muzyce nowożytnej, jak Baudelaire, Verlaine, Mallarmè odrodzili we Francji sztukę pisania, tak też nową substancję i nowe prawa stworzył w plastycznej ekspresji piękna Cezanne, jedyny niestety w naszych czasach, znający tajemnice tych starych alchemików, którzy umieli naturę pomnikowo przetwarzać, jako to Egipcjanie, archaiczni Grecy, mistrze gotyccy w kamieniu,—prymitywie, Wenecjanie, Hiszpanie, starzy Holendrzy na płótnie.

Nowoczesność tej sztuki tkwi w rzetelnem czuciu natury, w posłuszeństwie jej żywiołowym prawom i w tworzeniu według tychże praw piękna, a nie w malowaniu z przyzwyczajenia, ani w popisywaniu się sztukami wirtuozowskiemi, zbytecznemi subtelnościami fałszywych indywidualności. Przeciwstawia bowiem ewokację natury religijną sentymentalizmowi, abstrakcję rzeczywistości wyrażoną w dziele plastyki formami wymownemi anegdocie, koncepcję estetyczną optycznym złudzeniem i bezdusznemu powtarzaniu proporcji lokalnych, *deformację* słowem martwej poprawności.

Co to jest deformacja w sztuce? Znakomite ustępy poświęcił temu zagadnieniu *Mieczysław Golberg* w Książce „La Morale des lignes". Co to jest rzeczywistość? zapytuje Golberg. „Rzeczywistość, w ścisłem tego słowa znaczeniu, to indywidualizowanie zjawisk pogmatwanych ze sobą, to abstrakcja, kwintesencja szczegółów, przemijających bez ładu wzajemnego, bez indywidualności. Zjawiskiem najbardziej rzeczywistem jest zjawisko najmniej uchwytne, najmniej dostępne zmysłom: *punkt*. Z niego wyszły wszystkie wyobrażenia w fizyce i sztuce. Rzeczywistość jest raczej wizjonerską, a deformacja rzeczywistości podstawą wszelkiej twórczości ludzkiej. Rzeczywistość podlega także ewolucji i zmienia się stosownie do klimatu i do czasu. Zawsze przeto twórca zmuszonym jest narzucać świadomości współczesnej deformacje zjawisk rzeczywistych, jako syntezę namiętności, potrzeb i pewników danej epoki. Dlatego też walka o sztukę jest nieskończoną".

Deformacja była zawsze zasadą twórczości artystycznej, odkąd ludzkość miała potrzebę wypowiadania się w sztuce, która mówi Nietzsche, „jest w wyższym stopniu metafizycznem tworzeniem, niż etyka".

Konsekwentnie po wszystkich doświadczeniach impresjonizmu, sztuki analitycznej raczej, niż syntetycznej, młode pokolenie malarzy zaczyna czerpać wiedzę swoją z muzeów, przetwarzać wewnętrznie wszystkie epoki sztuki i sięgać aż do sztuki egipskiej, chaldejskiej, archaicznej Grecji, a nawet do najprimitywniejszych rzeźb afrykańskich, do sztuki barbarzyńskiej i pojmować formy natury intelektualnie. Jest to według Nietzsche'go *odzmysłowienie wyższej sztuki*. „Podobnie i wielu malarzy", wyraża się on, „uczyniło oko intelektualnem, wychodząc daleko poza te granice, jakie zakreślało dawniejsze rozkoszowanie się barwą i kształtem. I tutaj rozszerzyła się sztuka na dziedziny i zjawiska, uważane wprzódy za brzydkie. Jakaż jest konsekwencja tego wszystkiego? Im bardziej myślącemi stają się oko i ucho, tem pewniej zbliżamy się do granicy, gdzie zmysłowemi już być przestają, gdzie rozkosz artystyczna przeniesioną zostaje do mózgu, zmysły stają się tępe i słabe, symbol zastępuje byt — i oto na tej drodze zbliżamy się z taką pewnością do barbarzyństwa, jak na każdej innej.

Tymczasem pocieszamy się jeszcze: świat jest szpetniejszy niż kiedykolwiek, lecz oznacza on najpiękniejsze światy." Tak. Brzydota oznacza dziś piękno, bo *groteskowość* jest ogólnym wyrazem prawdziwej sztuki w naszych czasach i charakteryzuje tak samo pierwotność naszej epoki, jak to działo się w VII i VI wieku przed Chrystusem w Grecji i później jeszcze w średniowieczu chrześcijańskiem. W katedrze gotyckiej wyobrażona jest ona w postaci gryfów, jako jedna z faz ducha ludzkiego, a w dziejach sztuki, jako pragnienie ideału—niedołężnym wysiłkiem poprzedza kultury dojrzałe, których świetności zawsze jednak zwiastuje upadek, degenerację form wielkich. Poczucie zaś form u artystów nowoczesnych zbliżonem

jest do poczucia form wielkiej w sztuce egipskiej, archaicznej greckiej, mistrzów gotyckich, gdzie charakter groteskowy jest wyrazem wielkiego idealizmu, idealizmu pełnego zgrozy tragicznej. Albowiem daremnie szukać w nowoczesnej sztuce t. zw. czystego piękna klasycznego, do jakiego przywykliśmy w sztuce Greków z V lub IV wieku i w malarstwie włoskiem z epoki Odrodzenia, mimo, że dążność panuje dziś ogólna do klasycyzmu. Dzisiejszy „klasycyzm" przypisuje sobie daleko rozleglejsze znaczenie, bo charakter piękna nowożytnego zmienił się niewątpliwie. Kwestja Odrodzenia klasycznego w sztuce nowoczesnej jest głównie pragnieniem syntezy. „W pojęciu bowiem sztuki klasycznej", wyraża się *Maurice Denis*, *przeważa nadewszystko idea syntezy. Klasykiem nie może być ten, kto nie podporządkowuje wszystkich wdzięków w szczegółach pięknu całości, kto nie osiąga wielkości przez zwięzłość.*"

Jeżeli piękno nowoczesne nie jest jeszcze klasyczne, to dlatego, że nie znalazło dotąd swego uświęconego Kanonu. Sztuka bowiem dzisiejsza jest sztuką ekspresji przedewszystkiem, odbiciem temperamentów różnorodnych, — niepodlega słowem żadnej dyscyplinie i pozostawia swobodę najzupełniejszą talentom oryginalnym.

A. Basler.

KRONIKA.

— Kary prasowe: Redaktor i wydawca tygodnika „Młot", p. E. Truskier, skazany został w drodze administracyjnej na zapłacenie 100 rb. kary lub 1 miesiąc aresztu za wydrukowanie artykułu p. n. „Cholera."

Redaktor „Kurjera Litewskiego" p. Wojciech Baranowski został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej za artykuł p. n „Logika polityczna", dotyczący polityki rosyjskiej w Finlandji. Cenzura zaskarżyła artykuł ten z § 129. Prokuratorja znalazła w nim jednak tylko cechy przestępstwa, przewidziane przez art. 1034. P. Baranowskiemu polecono złożyć kaucję.

Redakcja „Kurjera Zagłębia" za umieszczenie szeregu artykułów o pożarze w kopalni Reden, jako alarmujących, lecz z rzeczywistością niezgodnych, skazana została w drodze administracyjnej na zapłacenie 300 rb. kary.

Redaktor i wydawca gazety „Warszawskoje Słowo" adw. przys. Parszyn, skazany został na mocy rozporządzenia generał-gubernatora warszawskiego na zapłacenie 100 rb. grzywny za wydrukowanie w № 95 artykułu p. n. „Zabójstwo St. Rybaka."

— Riecz w obszernym artykule podaje szczegóły z działalności pułk. żandarmerji Wonsiackiego, zabitego w Radomiu. Otóż, pułk. Wonsiackij, w walce z żywiołami rewolucyjnemi w gub. radomskiej, za przykładem zabitego w Petersburgu pułk. Karpowa, otaczał się „zausznnikami" t. zw. w języku urzędowym żandarmów—„otkrowienikami", — osobami, należącemi do partji rewolucyjnych. Niektórzy zausznicy zgłaszali swoje usługi dobrowolnie za pewnem wynagrodzeniem, inni pomagali z konieczności, po zdemaskowaniu i uwięzieniu, wskutek obietnic uwolnienia ich od wszelkiej odpowiedzialności za „szczerość" w wydaniu towarzyszów swoich z tej lub innej organizacji rewolucyjnej. Do liczby takich zauszników należał, między innemi, b. student Charewicz, dwukrotnie skazany na śmierć przez warszawski sąd wojenny, później ułaskawiony i osadzony na pół roku w więzieniu. Charewicz dopomógł żandarmerji do zupełnego rozbica partji socjalistycznej w Radomiu. Nie poprzestając na tem jednak, pułk. Wonsiackij tropił w dalszym ciągu rewolucjonistów. Pomocnikami jego, po zniknięciu bez wieści Charewicza, byli Szerman z Ostrowia i Sztern z Radomia. Pierwszego z nich w 1909 r. radomski sąd okręgowy skazał na 8 miesięcy więzienia za wymuszanie pieniędzy od mieszkańców w charakterze agenta żandarmów, grożąc w przeciwnym razie uwięziem, przyczem posunął się w kilku wypadkach do spełnienia tej groźby. Sztern zaś oddany został pod sąd za zabicie na ulicy w listopadzie 1909 r. mieszkańca Radomia, Drobina. Pułk. Wonsiackij występował bezpośrednio w obronie obydwuch przed władzami śledczemi. Do liczby podobnych zauszników należał również zabójca Wonsiackiego—Piątkowski, oraz jego pomocnik — Stępniewicz. Obydwaj, zwłaszcza pierwszy, cieszyli się bezgranicznem zaufaniem pułkownika, pozostając stale przy zarządzie żandarmerji. Zaufanie to było tak wielkie, że z powodu Piątkowskiego między Wonsiackim, na krótko przed śmiercią, i pomocnikiem jego służbowym L. doszło do zatargu. L. ostrzegał Wonsiackiego przed zbytniem ufaniem Piątkowskiemu i zalecał ostrożność w dokonywaniu aresztów i przeprowadzaniu rewizji na zasadzie jego wskazówek. Wonsiackij ukarał L. w drodze dyscyplinarnej, przenosząc go do innego miasta.

W nocy 16 czerwca w Radomiu, wskutek polecenia Wonsiackiego, dokonano masowych aresztów i rewizji, a rano d. 16 czerwca Wonsiackij kazał wezwać do gabinetu swego Piątkowskiego i Stępniewicza; przyprowadził ich, odszukawszy w znanem Wonsiackiemu miejscu, jeden z żandarmów. Pierwszy wszedł do gabinetu Piątkowski i pozostał z nim na osobności, Stępniewicz zaś zatrzymał się w pozie wyczekującej przed drzwiami gabinetu, w pokoju służącym Wonsiackiemu za kancelarję. Nagle w gabinecie Wonsiackiego rozległ się strzał a w minutę drugi. Żandarm Kolcow rzucił się ku drzwiom z okrzykiem: „Pułkownik zabity!" Wtedy Stępniewicz strzelił do Kolcowa, raniąc go w głowę, poczem wystrzałem, skierowanym w usta, zabił się na miejscu.

Gdy służba kancelaryjna weszła do gabinetu, Wonsiacki leżał martwy na ziemi obok biurka z niewidoczną raną od kuli w skroni. Na balkonie, od którego drzwi były otwarte, leżał, również bez znaku zycia, Piątkowski. W leżącym obok niego rewolwerze brak było dwóch nabojów. Jedną kulą Piątkowski zabił Wonsiackiego, drugą zaś odebrał sobie życie, wybiegłszy uprzednio na balkon, prawdopodnie w zamiarze ucieczki, skoczyć jednak się nie odważył z wysokości 2 piętra. Zarówno Piątkowski jak i Stępniewicz otrzymali rewolwery od Wonsiackiego i nosili je stale przy sobie.

Po zabójstwie Wonsiackiego wszyscy agenci jego i zausznicy w Radomiu i w innych miejscowościach gub. radomskiej zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu radomskiem.

Od Administracji.

Ogłoszenia do

SPOŁECZEŃSTWA

przyjmuje się

w administracji ul. Wielka № 1-a telef. 97-83.
ul. Krucza „ 12 m. 15 „ 66-01.
ul. Długa „ 9 m. 18 „ 94-01.

Redaktor i wydawca Dr. J. M. Muszkowski. Drukarnia Artystyczna K. Kopytowski i S-ka Nowy-Świat 47.